№ 32. Warszawa, dnia 27 Lipca (8 Sierpnia) 1885 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

KILKA MYŚLI

W KWESTYI KOBIET DOTYCZĄCEJ.

„Między ciemnościami można wyróżnić najmniej gęste, między przepaściami najmniej głębokie.” (*)

Zdanie powyższe francuzkiego myśliciela, wypowiedziane z powodu niejednakowej dozy racyonalistycznego pierwiastku, zawartego w religiach dzikich ludów, daje się zastosować w pewnym stopniu do dzisiejszego stanowiska kobiet w rodzinach i społeczeństwach rozmaitych krajów. A chociaż bezwzględnie rzecz biorąc, przy dzisiejszym ustroju publicznego wychowania, wszędzie zostawia ono jeszcze wiele do życzenia i nie może zadowolnić bezstronnych umysłów ludzi, pojmujących głębiej przyczyny anormalności społecznych, jednak tak bardzo jest różnem na rozmaitych punktach kuli ziemskiej, że budzi w nas całą gamę najsprzeczniejszych uczuć.

Głębokie politowanie uczuwamy względem biednej, nędznej, nieświadomej swej godności ludzkiej Buszmanki, którą mężczyzna uważa za rzecz lub zwierzę domowe, kupując ją, sprzedając, handlując nią, słowem frymarcząc nią wedle własnego widzimisię, gdyż względnie większa stanowczość charakteru, wypływająca z szerszego zakresu praw i działalności, oraz siła fizyczna będąca alfą i omegą wartości ludzkiej, wedle pojęć pierwotnych, czynią z niego despotycznego władzcę, uległej i pokornej do nieskończoności kobiety. Przeciwnie, uczucie radości, dumy i gorącej wiary w promienną przyszłość, rodzi się w sercach naszych, na widok dzielnej obywatelki, względnie wolnej ziemi Stanów Zjednoczonych, spłacającej dług swój ludzkości wytrwałą i samodzielną pracą obok męża, brata lub ojca (*).

W naszym wieku postępu i wysokiego humanizmu, pragnącego za pośrednictwem towarzystw opieki nad zwierzętami, zapewnić odpowiednie warunki rozwoju nawet dla istot niższego rzędu, nie pomijają zupełnem milczeniem kwestyi kobiecej, owszem różni i różnie mówią o niej, przeważnie atoli w chwilach wolnych od poważniejszych zajęć, lub też w braku żywotniejszych przedmiotów myślenia, niż unormowanie stosunków, warunkujących szczęście i pomyślność połowy całej ludzkości, tak ściśle wiążącej się z drugą, we wszystkich najważniejszych zagadnieniach życia.

Przyjrzyjmy się, choćby pobieżnie tylko owej różnobarwnej mozaice sprzecznych zdań, świadczącej wymownie o indywidualnej niezależności ludzkich umysłów.

Jedni uznają kobietę za bierną, pozbawioną woli istotę, w której świat uczuć i instynkta macierzyństwa wybujały kosztem innych zdolności, istotę, której umysł może próbować, kształcić i rozwijać dozgonny towarzysz ziemskiej pielgrzymki, gdyż rola ucznia będzie miała dla niej pewien powab nowości, którym kobiety nigdy nie gardzą, lecz swoją drogą nie powinien wymagać od niej koniecznej uwagi, a tem mniej zrozumienia (*).

Czciciele zamierzchłej przeszłości wołają z patosem, godnym lepszej sprawy, by kobieta „kądziel przędła, domu strzegła, czystą żyła na tym świecie” (**), zapominając, niestety, że owa tradycyjna kądziel wysunęła się z ubezwładnionych zastosowaniem elektryczności i pary rąk kobiecych, nie mogąc jej nadal ustrzedz od głodowej śmierci, wobec produkcyi fabrycznej i nie uwzględniając również wielkiej prawdy, łatwej do zrozumienia

(*) Montesquieu. Esprit des lois, ks. XXIV, rozd. I.

(*) W Stanie Nowy-York w r. 1881, ogólna liczba nauczycielek wynosiła 22,000, z pensyą od 300 — 1200 dol.; doktorek 3, z których jedna p. Pulnam jest profesorką farmakologii i chemii w kolegium Blackwell. P. Gordon jest adwokatem w San-Francisko; p. Lockword zaś w Waszyngtonie, gdzie posiada ogromną klientelę i nader często staje przed sądem.

(*) Michelet. L'amour.

(**) E. Leja. Emancypacya.

a priori i dającej się udowodnić *a posteriori*, że aby uchronić ognisko rodzinne od wpływów podkopujących jego szczęście i zakłócających harmonię, by przekształcić je na pracownię, w której się wyrabiają wzniosłe charaktery i w hartowną stal zakuwają duchy, nie wystarcza chyba umiejętność wysnuwania srebrzystej nici lnianej; lecz niezbędnym jest olbrzymi zasób sił moralnych i intelektualnych, oraz dojście do wysokości poziomu tych, którym się podało rękę do wspólnej pracy i walki z przeciwnościami życia.

Pozwalamy sobie zwrócić uwagę, że i ostatni nakaz moralny z wyżej przytoczonego ustępu pozostanie również w krainie uroczych, lecz nie dających się użyciowić marzeń dla kobiety, której jedyną bronią przeciwko pociskom losu będzie kądziel naszych prababek, gdyż bronią tą nie zwalczy straszliwego widma nędzy materyalnej, prowadzącej w większości wypadków, nieuniknioną logiką konieczności, do nędzy moralnej.

Między zaprzeczającymi praw ludzkich kobiecie, znajdują się też i tacy, którzy uważając ją za wdzięczne cacko, wybaczają pobłażliwie wszelkie wybryki złego humoru, wszelkie braki i wady umysłu i serca, w imię jej niepoczytalności, gdyż „kobieta sama nigdy nie wie czego chce" (*). Nie brak również i wielkich uczonych, zdających sobie jasno sprawę z zależności skutków od przyczyn, w rodzaju prof. Bischoffa, dowodzącego niższości rasy kobiecej pod względem psychologicznym, na podstawie odmiennej konstrukcyi czaszki i walczącego uporczywie z tymi, którzyby pragnęli dopuścić kobiety do słuchania wykładów uniwersyteckich poważnemi argumentami, że posiadają one cieńszą i delikatniejszą skórę, krótsze nogi, węższą krtań i słabszy narząd głosowy.

Poprzestajemy na tych kilku wymownych przykładach, pomijając milczeniem setki innych waryacyi na ten sam temat, gdyż nie chcemy przykuwać przez czas dłuższy uwagi czytelniczek do rzeczy ostatecznie złych i niemoralnych, bo nieprawdziwych; spieszymy natomiast odetchnąć wraz z nimi ożywczą i pokrzepiającą atmosferą krytycznych i rdzennie wyczerpujących kwestyę poglądów, najgłębszych myślicieli naszego wieku: Milla i Buckla.

Zacznijmy od tego ostatniego.

Genialny autor „Historyi cywilizacyi", przyznaje kobietom, na podstawie danych psychologicznych, większą względnie do mężczyzn bystrość i szybkość myślenia, pomimo, że zdolność tę osłabia w nich potworny systemat wychowania, usuwający od nich wszystko co warto jest wiedzy, a karmiący je wszelkiemi niedorzecznościami, dopóty, dopóki ich „piękny i czysty umysł nie ulegnie zupełnemu skażeniu". W owej bystrości myślenia oraz wrażliwości żywszej wyobraźni i przenikliwości umysłu, Buckle widzi świetne warunki odkrywania nowych prawd naukowych, za pomocą metody dedukcyjnej, wyprowadzającej prawa z pojęć już istniejących w umyśle; metody, która jak świadczą dzieje naszej wiedzy, oddała olbrzymie usługi ludzkości, gdyż jej to zawdzięczamy takie odkrycia jak: Newtona, o prawie grawitacyi; Haüy'a, o prawidłowości kształtów w dziedzinie państwa minerałów; Goethego, o przemianie jednej zasadniczej formy liścia w rozmaite części kwiatu: przylistki, przykwiatki, płatki, korony, pręciki, słupki i t. d.

Biorąc więc pod uwagę twierdzenie, że kobiety bardziej są dedukcyjne z natury niż mężczyźni, Buckle przypisuje im kolosalny wpływ na postęp wiedzy bądź bezpośrednio, bądź pośrednio przeciwdziałaniem wielkiej skłonności mężczyzn do indukcyi, gdyż większość znakomitych ludzi ulegała ich wpływom „nietylko we względzie uczuć swych, lecz także i we względzie umysłowego kierunku".

„I teraz, powiada w dalszym ciągu, wyżej wspomniany autor, jesteśmy empirykami i niewolnikami faktów; lecz gdyby nie kobiety, niewola nasza byłaby jeszcze większa, jeszcze haniebniejsza. Treść ich myśli, kierunek umysłu i poglądy niewidzialnie rozpościerają się i przenikają do głębi społecznego życia. Wpływ kobiet więcej niż wszystkie inne czynniki razem wzięte, unosi nas w świat ideału i podnosi z prochu, w którym skłonni jesteśmy pełzać (*).

Drugi, najpotężniejszy myśliciel naszego wieku Mill, robi prawdziwe a gorzkie spostrzeżenie, iż społeczna podległość kobiet w najpostępowszych krajach jest jedynym śladem dawnego porządku rzeczy, wszędzie już zburzonego w imię sprawiedliwości i prawdy. Nierównouprawnienie kobiet, oto jedyne przykłady prawa, stanowiącego o ludziach wedle urodzenia, nie zaś wedle ich istotnej wartości, i chociaż ma doniosłe znaczenie dla całej ludzkości, nie oburza prawie nikogo.

A jednak doświadczenie nas uczy, „że każdemu krokowi na drodze postępu towarzyszył niezmiennie stopniowy rozwój w stanowisku społecznem kobiet, tak dalece, że historycy lub filozofowie w wyniesieniu ich lub poniżeniu upatrywali najpewniejsze kryteryum najprawdziwszej miary cywilizacyi narodu lub wieku" (**).

Olbrzym europejskiej myśli żąda stanowczo zupełnego równouprawnienia kobiety w rodzinie i otworzenia przed nią dróg do czynności i zajęć dostępnych dotąd wyłącznie dla mężczyzny. A przyznając jej zdolność do pracy we wszelkich kierunkach, widzi źródło obecnej niższości ogółu kobiet w cieplarnianej oprawie, pod której działaniem usposobienie ich i charakter stają się jakimś sztucznym wyrobem, gdyż „niektóre latorośle ich sił żywotnych puszczają i rozwijają się gwałtownie, podczas, gdy inne pędy z tegoż korzenia pozostając na dworze, w atmosferze zimowej, z umysłu otoczone lodami, nie wydają nic, owszem warzą się i znikają" (***).

Dodajmy od siebie, iż z każdym rokiem zwiększający się zastęp dzielnych i energicznych pionerek, dążących z nieustraszonem męztwem do światła i wiedzy, przez kolce i ciernie jeżących się na ich drodze przeszkód najrozmaitszych, powinienby już przekonać i szerszy ogół, że matka-natura nie wydziedziczyła po macoszemu kobiety z najwznioślejszych cech ludzkiego ducha, obdarzając ją natomiast płytkością umysłu i słabością charakteru.

Zrzucając cały ciężar odpowiedzialności takiego stanu rzeczy na naturę, popełnilibyśmy tak krzyczącą niesprawiedliwość jak wówczas, gdybyśmy jej przypisali elastyczność członków, cechującą akrobatów, lub ogorzałą cerę marynarza, wystawionego przez rok cały na zmiany atmosferyczne północnych oceanów i wpływy słoneczne stref podzwrotnikowych; niesprawiedliwość tem gorszą, że dowodzącą ignorowania zasad najważniejszej gałęzi psychologii, t. z. Etologii, pozwalającej nam na podstawie prawa rozwoju charakterów wogóle, wyprowadzać drogą rozumowania wnioski z poszczególnych okoliczności. Oto co mówi w tej mierze pierwszorzędny, spółczesny ekonomista niemiecki:

„Jeżeli prawdą jest, że kobiety europejskie spotykają daleko więcej trudności w zapewnieniu sobie środków do życia niż mężczyzni, że posiadają mniej siły odpornej do zwalczenia niszczących wpływów nędzy na organizm niż ci ostatni, że pozostają w ciągłej zależności od nich na mocy prawa cywilnego, normującego wytwarzanie i władanie majętnością; że cierpią w skutek anormalnych stosunków rodzinnych, pozostawiających tak wiele do życzenia; jeżeli to wszystko, niestety, jest prawdą: to obwiniać o to należy zbyt nizki fizyczny i umysłowy rozwój, zapewniany kobietom przez społeczeństwo danej chwili. Niejednakowy stosunek do prawa, ciągła opieka, która ją otacza od kolebki aż do grobu, podległość w rodzinie: oto przyczyny rozwijające w kobiecie moralną i fizyczną bezsilność, biorącą początek w jednostronności wychowania.

Widzimy iż wykształceńsze kobiety klas uprzywilejowanych zajmują stanowisko równe męzkiemu, korzystając nawet często z pierwszeństwa przynależnego ich wrodzonej wyższości.

Głęboka prawda życiowa, skrystalizowana w jednym z najszczęśliwszych aforyzmów, głosi, iż społeczeństwo jest takiem jak jego kobiety. Z prawdą tą zgodzić się musi każdy, kto dorosł do zrozumienia, iż niewola demoralizuje zarówno tych co ją wywołują, jak i tych co ją znoszą; zgodzi się z nią również każdy, pojmujący doniosłość wpływu, jaki kobieta wywiera na ewolucyjny rozwój rodziny, będącej ostatnim wyrazem moralnego zadania społeczeństwa i „grającej w niem tę samą rolę, co poszczególne narządy w organizmie zwierzęcym".

Podobnie więc jak organizm nie zdoła dosięgnąć zupełnego rozwoju przy patologicznie anormalnym stanie swych narządów, tak też i społeczeństwo nie zdoła użyciowić celów, do których dąży przy patologicznie anormalnym ustroju rodzin, których matki, żony i córki pozbawione są możności dojścia do wysokości swego posłannictwa dla braku odpowiedniego wykształcenia, dającego się im tem boleśniej uczuwać, iż chyba już żadna z nich nie potrafiłaby się wstydzić nauki, jak tego żąda Fenelon, zalecający i pod tym względem kobietom jak najczujniejszą i najdrażliwszą wstydliwość.

Jedynym zaradczym środkiem przeciwko straszliwej chorobie, podkopującej moralny i materyalny byt rodzin, jedynem skutecznem antidotum na działanie trucizny, którą dotąd karmiono kobietę, jest otwarcie przed nią drogi do poważnych studyów w kierunku, do którego czuć będzie najwięcej powołania. To też kończymy te kilka luźnych uwag hasłem, które umierający Goethe rzucić stygnącemi usty, ludzkości na pożegnanie, wołając: światła! Pod jego potężnem tchnieniem, jak za dotknięciem różczki czarnoksięzkiej, zniknie płytkość i drobiazgowość zarzucana zwykle kobiecie, duch jej ukocha to, co jest wiecznem i nieśmiertelnem, odwracając się ze wzgardą od rzeczy znikomych i przemijających.

Gdy myśl jej zbudzona z wielkiego snu ogarnie skarby wiedzy i prawdy zdobytej poświęceniem i pracą najszlachetniejszych jednostek przeszłych

---

(*) Ochorowicz. Pogadanki z dziedziny psychologii, fizyologii i pedagogiki.

(*) Buckle. Wpływ kobiet na postęp wiedzy.
(**) Mill. Poddaństwo kobiet.
(***) Loco citato.

pokoleń, wówczas zrozumie jaki dług cięży na niej względem przyszłych, i czując się maluczkiem ogniwem w łańcuchu istnień, którego początku człowiek określić, a końca przewidzieć nie zdoła, oraz składową cząstką ludzkości, owej Wielkiej Istoty zbiorowej, wedle określenia Comte'a, potrafi rozkochać się w promiennych jej celach i dążąc do urzeczywistnienia, stanie się kobietą-człowiekiem w najrozleglejszem znaczeniu wyrazu, łączącą bogactwo uczuciowej treści z siłą woli tak potężną, i umysłem tak samodzielnym, że zaledwie pojąć zdoła smutne dzieje przebrzmiałej przeszłości, dzieje, które najwyższą hańbą piętnuje cicha skarga kobiety z Nieboskiej komedyi, okrytej kirem szat żałobnych, skarga wymownie świadcząca o bezmiernych żalach i bólach, rozrywających znieważone serce niewieście: „Za życia przyznano mi tylko ciało, a ja przecież i ducha czułam w sobie!"

M. W.

FINAŁ PIEŚNI.

(Na pamiątkę dla Zygmunta Cz.)

Po nad chmury,
Na lazury,
Nie podążym już;
Tam gdzie złuda,
Tworzy cuda
Z brylantów i róż.

Już półsenne,
Widma dzienne,
Popłynęły w dal;
W cień wieczora,
Od jeziora
Niesrebrzonych fal.

Już księżyca,
Mgławe lica,
Smęcą skalny szczyt, —
Słowik róży
Już nie wróży,
Że powróci świt.

Tu — dokoła
Blade czoła,
Kryształowy wzrok,
Rdzeni myśli
Nie określi
Czczych wyrazów tok.

Od wybrzeży
Się nie szerzy
Wrogiej burzy jęk, —
Czemuż szczersi
Czują w piersi
Jakiś niemy lęk?

Nikt nie może
Stopy Boże
Mierzyć skalą lat,
Choć powtarza,
Że przetwarza
Ku lepszemu świat...

W jednej chwili
Się rozchyli
Chmura nocnych mgieł,
Nikt nie zgadnie,
Gdzie się wkradnie
Promień arcy-dzieł.

Lecz w dzień próby,
Od zaguby
Niechaj strzeże Krzyż, —
Tul do łona
Te ramiona,
Ale głowę zniż!

Owoc pychy
Zawsze lichy —
Sobkostwo i chłód;
Bez natchnienia,
Poświęcenia,
Nie przychodzi cud.

Bez zapału,
Ideału,
Bez nadziei śnień,
W otchłań wieczną,
Drogą wsteczną
Zstąpi jasny dzień.

Miej — lecz rzucaj,
Śnij — ocucaj,
Powstrzymuj i leć,
Twórz — lecz własne,
Prawe, jasne,
Wierz i wiarą świeć!

I. Laskarys.

WIZYTA LEKARZA.

Krokiem zdradzającym niepokój wewnętrzny, po wykwintnym gabinecie, oświetlonym dzisiaj słabo, bladem światłem lampy, stojącej na wielkiem orzechowem biurku, przechadzał się pan X., coraz to zatrzymując się przy oknie, wychodzącem na ulicę.

Wtem w ulicy rozległ się głuchy turkot, jadącego powozu. Zadrżały szyby w oknach gabinetu, zadźwięczały cicho profitki na lichtarzach marmurowych, zdobiących biurko, posępna chmura znikła z czoła pana X. i coś jak nadzieja błysnęło w siwych jego oczach.

— Kareta jedzie — szepnął sam do siebie — może to on.

Nie mylił się, dzwonek, jaki rozległ się w tej chwili w przedpokoju, świadczył o tem, pan X. pośpieszył ku drzwiom; jeszcze do nich nie doszedł, gdy podwoje rozwarły się i wygalonowany lokaj stanął w progu:

— Doktor Ładowski! — oznajmił głosem uroczystym, i jednocześnie wyczekiwany już od rana niecierpliwie, wsunął się do gabinetu. Był to mężczyzna już w wieku, z siwą, białą jak łabędź głową, czarne oczy głęboko osadzone patrzały łagodnie, czoło wyniosłe zdradzało inteligencyą, na ustach wił się uśmiech słodki. Ubiór jego staranny dawnego był kroju, ruchy spokojne, powolne nawet nieco; spojrzawszy nań, przychodziło na myśl, że stoimy wobec człowieka niezwykłego: mędrca, lub świętego.

Pan X. wyciągnął obie ręce ku wchodzącemu, ujął dłoń lekarza i rzekł głosem wzruszonym:

— Nadzieja wstępuje mi w serce, gdy cię widzę, doktorze, bo czuję że będziesz naszym zbawcą, że mi uratujesz dziecię moje jedyne, które stoi nad grobem.

— Czyżby tak źle było? — zapytał niespokojnie lekarz i lekko uścisnął rękę pana X.

— Chodź do niej, a przekonasz się sam — odparł nieszczęśliwy ojciec. — Kogo ja już nie wzywałem do niej, gdzie z nią nie byłem i nic nie pomogło! W tobie, doktorze, ostatnia moja nadzieja, bo mówiono mi że cudów dokonywasz, trafnem odgadywaniem przyczyny choroby.

Doktor uśmiechnął się smętnie, mówiąc:

— Zwyczajnym jestem człowiekiem, zwyczajnym zupełnie, tem jednem różnię się może od niektórych moich kolegów, że przyczyny choroby nie tylko w samem ciele szukam, ale i w duszy, że badam serce i umysł pacyenta równie troskliwie, jak puls jego; bo wierzę, iż storożytne przysłowie: „zdrowa dusza, w zdrowem ciele", ma swoją zasadę. Często przyczyną niemocy ciała bywa choroba duszy: zmartwienie, nuda, lub... wyrzuty sumienia. Wtedy-to duszę leczyć trzeba, bo z jej zdrowiem i ciało siły odzyska; lecz chodźmy do chorej.

— Chodźmy — potwierdził pan X. i wraz z doktorem przeszli szereg wytwornych salonów, nie patrząc na zdobiące je aksamitne meble, marmurowe konsole i filary; stanęli nareszcie przed drzwiami, które zasłaniała ciężka firanka ponsowa. Pan X. podniósł ją, ujął za klamkę i uchylił ostrożnie drzwi.

Weszli oba: był to prześliczny pokoik, ściany zasłaniały draperye z białej materyi, artystycznie ręką tapicera ułożone; błękitne, maleńkie kanapki i foteliki, rozstawione były tu i owdzie z symetryą pełną smaku. W jednym rogu stała pyszna żardiniera z kwiatami, w drugim olbrzymia klatka a obok niej maleńkie biurko, zastawione cackami. Lecz zbytek, jaki tu panował, łączył się z widocznem zaniedbaniem: piękne kwiaty, miały liście i kielichy pozwieszane smutnie, snać ręka co je pielęgnowała zapomniała o nich; pianino było zamknięte i prawie ręczyć można było, iż bardzo dawno klawiszy jego nikt nie poruszył. Prześliczne drobiazgi na biurku stojące, bez najmniejszej symetryi były poustawiane. Znać było, że je dotykała tylko ręka służby, a nie tej dla której były przeznaczone: klatka była otwarta i pusta, pod jedną wreszcie ze ścian na długim, miękkim szezlągu, leżała córka pana X. Blada jej twarz ginęła wśród koronek poduszki; jasne, złote włosy rozsypane w nieładzie spadały aż ku ziemi, śliczne małe rączki zwisły bezwładnie, oczy miała przymknięte.

Skrzypnięcie drzwi i kroki wchodzących nie zbudziły jej, leżała nieruchoma jak posąg z białego marmuru.

Pan X. westchnął boleśnie, wskazał chorą wzrokiem doktorowi i wstrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć:

— Nieszczęśliwa!

Potem siląc się na uśmiech, zbliżył się do szezląga, pochylił się ku córce i szepnął:

— Edyto!...

Na dźwięk głosu dobrze sobie znanego, Edyta otworzyła błękitne, wielkie oczy, popatrzyła chwilę smutnym, zgasłym wzrokiem na ojca, poczem znowu przymknęła oczy i zapadła w stan nieruchomy.

Pan X. odwrócił się spiesznie do doktora, widok ten rozkrwawił mu serce na nowo, chciał ukryć łzy, lękał się by ich córka nie spostrzegła; lecz

wzruszenie było silniejsze niż jego wola i wybuchło nagle z piersi gwałtownem łkaniem. Edyta usłyszawszy je, zerwała się blada z szezląga, zbliżyła żywo do ojca, oplotła obie ręce koło jego szyi i zapytała z czuciem:

— Co tobie, ojcze kochany?

Pan X. otarł łzy, zapanował nad wzruszeniem, uścisnął córkę, a ta spojrzała zdziwiona na nieznajomego.

— Witam panią — rzekł doktor, zobaczywszy to i podając jej rękę.

Edyta cofnęła się, a wzrok jej mówił wyraźnie:

— Coś ty za jeden?

Uśmiechnął się do niej ojciec.

— Przedstawiam ci doktora ***.

Ciche westchnienie, tak ciche jak powiew lekkiego wietrzyka, wybiegło zpiersi dziewczęcia. Podała dłoń doktorowi, lecz uczyniła to z widoczną niechęcią; białemi paluszkami zaledwie dotknęła wyciągniętej ręki ku sobie, a potem wróciła do szezląga.

— Jeszcze jeden! — szepnęła złamanym głosem, poczem opadła powoli na poduszki, przymknęła oczy i znowu leżała nieruchoma jak posąg z białego marmuru.

Niezrażony takiem przyjęciem doktor, siadł obok pacyentki i ujął delikatnie ją za puls, a pan X. począł opowiadać przebieg choroby.

— Już od roku jest cierpiącą — mówił smutnym głosem — coraz to słabsza, coraz obojętniejsza na wszystko. Jeszcze parę tygodni temu często czegoś zażądała, zadawalniałem wszystkie jej życzenie: woziłem na spacery, do teatru, na koncerty, kupowałem stroje, klejnoty, kwiaty, książki, o co tylko poprosiła, nie uleczyłem jej przecie, nie powróciłem jej sił i rumieńców. Z każdym dniem gorzej się czuje, z każdym dniem jest bledszą, smutniejszą, obojętniejszą na wszystko: całe dnie spędza już teraz w tym pokoju, nie wstaje prawie z tego szezląga, nie mówi do nikogo, nie prosi o nic, nie żąda niczego, o nic i o nikogo nie pyta, tak jakby nikogo nie kochała, jakby świat cały zbrzydł jej naraz. I nie skarży się też na nic, nie płacze, nie wyrzeka, niknie wszakże powoli i gdy patrzę na nią, zdaje mi się, że to dogorywająca lampa, która za chwilę ma zgasnąć. Gubię się w przypuszczeniach, co może być przyczyną jej choroby? Czego tylko młodość pożąda, o czem zamarzyć może, to ona posiada. To prawdziwa królowa, panie doktorze, a jednak...

Tu biedny ojciec umilkł, doktor nie puszczał tymczasem ręki Edyty, badał pilnie jej puls i wpatrywał się w nią uważnie. Edyta wciąż leżała nieruchoma a puls jej bił słabo.

— Mam miliony — począł znowuż pan X. — pracowałem całe życie ciężko by je zebrać, by dziecku memu jedynemu szczęście zapewnić; miliony zebrałem, lecz szczęścia córce nie zapewniłem: czy go nie ma na ziemi?

— Jest — odparł poważnie doktor — ale nie dla każdego w dostatku ono spoczywa, nie zawsze szczęście pieniądz daje. Są istoty wyższe umysłem, doskonalsze sercem, którym do szczęścia coś więcej potrzeba nad stroje, klejnoty i zabawy, innego świata, nad świat zbytku i wykwintnej wygody.

Puls Edyty począł mocniej bić, uczuł to doktor; wyraz zadowolenia oświecił mu twarz, spojrzał przychylnie na chorą i tak ciągnął dalej:

— Takie istoty choć nie poznały tego innego świata, tego wyższego szczęścia nie zakosztowały, wzdychają przecież za niemi, tęsknią i nikną bez niego; im ciasno, duszno, smutno w atmosferze w której żyją: wyrwać je z niej trzeba, wyrwać koniecznie.

Puls Edyty silniej znowuż uderzył: podniosła powieki i spojrzała na doktora, jakby z wdzięcznością, pan X. patrzył na obcje z jednym zawsze smutkiem.

— A więc milionami nie zapewnię szczęścia jedynemu swemu dziecku — myślał sobie. — I czegoż brak Edycie, za jakim światem ona wzdycha, o jakiemże to wyższem szczęściu doktor mówił?

— Poznałem już pani chorobę — odezwał się po chwili doktor — mam już w myśli na nią lekarstwo.

— Czy podobna! — zawołał pan N. i zerwał się z krzesła, pobiegł do biurka, wziął kałamarz z piórem i stanąwszy przed lekarzem rzekł: — Oto papier, chcesz pan zapewne napisać receptę?

Doktor usunął podane sobie przedmioty.

— Nie potrzeba mi ani papieru, ani pióra — odparł, poczem zwrócił się do Edyty.

— Czy masz pani jakie skromne ubranie? — zapytał — czarny kapelusz, suknię nie zwracającą niczyjej uwagi.

Ojciec i córka spojrzeli na niego zdumieni.

— Naturalnie, że mam — odrzekła Edyta.

— Ubranie spacerowe — począł znowu doktor — lecz takie, w którem mogłabyś wejść wszędzie i do pałacu i do chaty najbiedniejszej, a przytem jeszcze takie, które mogłabyś jak najprędzej włożyć na siebie.

Edyta dźwignęła się z poduszki:

— Pocóż to wszystko? — spytała.

— Po to, by ze mną pojechać i to zaraz w tej chwili.

— Z panem? — to rzekłszy, dziewczę pełne ciekawości oraz zdumienia spojrzało na doktora.

— Gdzież pan chcesz ją zawieźć? — spytał pan X.

— To moja tajemnica.

Pan X. chciał jeszcze o coś zapytać, lecz doktor zwrócił się z uśmiechem do pacyentki:

— A zatem proszę się ubierać — rzekł wesoło — zostawiam pani pięć minut czasu na ubranie.

Edyta nie podniosła się z siedzenia, doktor czekał chwilę; lecz widząc że się waha, że nie wie co ma zrobić, pochylił się do niej i szepnął:

— Idzie tu o ojca twego, zrób co radzę.

Edyta zerwała się z szezląga i spiesznie wyszła, a gdy drzwi zamknęły się za nią, pan X. zbliżył się ku doktorowi i położył mu rękę na ramienin.

— Odsłoń mi pan przecież tajemnicę, powiedz, co zamierzasz zrobić? — zapytał głosem niespokojnym.

— Nie mogę — odparł Doktor, poczem ujął rękę pana X. i dodał tonem zniżonym:

— Córka pańska jest bardzo chora, niebezpiecznie chora, pan wiesz o tem...

— Wiem — odparł pan X. — wiem aż nadto dobrze.

— Pragniesz by była zdrowa?

— Miliony rzucę pod twe nogi, jeśli ją uleczysz.

— Milionów nie potrzebuję, chcę tylko byś mi ufał i nieprzeszkadzał, chcę abyś mi zostawił zupełną swobodę działania.

Pan X. zawahał się, a doktor po chwili przestanku tak mówił dalej:

— Codzień w południe zajeżdżać tu będę i zabierać z sobą na kilka godzin Edytę, pan zaś nie możesz pytać gdzie jedziemy, póki sama ci tego nie objawi.

— Lecz czyż ona zgodzi się na to? Wszakże mówiłem ci iż nigdzie nie chce wychodzić.

— Zobaczymy.

Gdy to mówił, drzwi się rozwarły i stanęła w nich Edyta, w miejsce białego, rannego koronkami ozdobionego stroju, miała teraz na sobie krótką, czarną, wełnianą suknię, skromny angielski kapelusz na głowie, czarne rękawiczki i takiż parasolik w ręku.

— Czy zgadzasz się, panie X? — spytał doktor.

W miejsce odpowiedzi, zapytany skinął głową, i ucałował córkę ze łzami w oczach. Lekarz uścisnął mu dłoń serdecznie, podał ramię Edycie i wyprowadził z mieszkania na dół do powozu.

W kilka minut potem kareta doktora minąwszy kilka ulic, skierowała się w ciasne uliczki starego miasta. Edyta blada, oparta niedbale o poduszki powozu, siedziała milcząca, z zagasłem okiem patrzała w okno karety, nie widząc prawie przechodniów.

Wtem przed jedną z kamienic Starego Miasta, powóz zatrzymał się, doktor zwrócił się do Edyty i rzekł:

— Tu wysiądziemy.

Edyta podniosła się niechętnie, doktor podał jej rękę, pomógł wysiąść i ująwszy silnie pod ramię chwiejącą się, poprowadził do wązkiej, ciemnej sieni, a z tej na równie ciemne schody. Gdy dotarli na drugie piętro, Edyta była tak znużoną, iż oświadczyła, że dalej iść nie może.

— Odpoczniemy chwilę i sprobujemy znowu — odparł spokojnie doktor — nie pożałujesz pani trudu.

Edyta oparła się o zimną ścianę schodów, doktor tuż przy niej zajął miejsce.

Stali tak chwilę milcząc...

— Pójdźmy dalej — odezwał się po kilku minutach doktor i podał ramię Edycie. Oparła się na nim, zwiesiła się jak wątły powój na pniu drzewa, tak że musiał prawie ją unosić.

Dotarli wreszcie na czwarte piętro: ciemno tu było całkiem, zaduch zmieszany z stęchlizną tamowały im oddech, Edyta z przerażeniem rozglądała się wokoło.

— Jakież to okropne miejsce — szepnęła.

— W tem okropnem miejscu ludzie jednak mieszkają — odparł doktor — różne są dole ludzkie na ziemi...

To mówiąc popchnął drzwi, które dojrzał przy słabem świetle dochodzącem z dołu i nowy widok, straszniejszy jeszcze od ciemnych, zatęchłych schodów przedstawił się oczom Edyty.

W izdebce tak nizkiej, iż gdy w niej stanęła, to głową prawie pułapu sięgała, tak małej, iż jeden tapczan, stół, dwa stołki i komin zaledwie pomieścić się w niej mogły — sześć osób mieszkało. Na jednym stołku siedziała kobieta nędzna i blada i karmiła niemowlę: na drugim siedziała trzynastoletnia dziewczynka, również blada i chuda, ta pilnie coś na drutach robiła. Tuż przy niej na nędznym tapczanie, przykrytym garścią barłogu, leżał mężczyzna lat średnich z wykrzywioną kurczowo twarzą; ciche jęki, jakie wyrywały się z jego piersi, świadczyły, że cierpi bardzo. U nóg jego dwoje dzieci pół nagich, łachmanami przykrytych zajadało chciwie czarny chleb — i drżące, sine, blade, tuliły się do siebie. W izbie było bardzo zimno, pusty komin świadczył wymownie, że tu nie codzień rozniecano ogień, nie codzień ciepłą strawę gotowano.

Skrzypnięcie drzwi zwróciło uwagę rodziny w tej ciasnocie zebranej i chory odwrócił twarz ku wcho-

dzącym, kobieta podniosła się ze stołka i nie puszczając z rąk niemowlęcia, które kwiliło, bo pierś matki mleka dać mu nie chciała, zbliżyła się ku doktorowi.

— I cóż tam dzieje się z waszym mężem? — zapytał.

Kobieta westchnęła i otarła łzę z oczu rękawem.

— Jęczy i jęczy tylko ciągle, dobry mój panie— odparła — nic mu nie lepiej.

Doktor zbliżył się do chorego i siadł na tapczanie, Edyta przerażonym wzrokiem patrzała przed siebie, nie śmiejąc dalej postąpić. Mała dziewczynka spojrzała na nią ciekawie, fartuchem otarła stołek, na którym przed chwilą siedziała i przysunęła go pięknej pani szepnąwszy nieśmiało:

— Proszę, niech pani spocznie.

Edyta spełniła jej życzenie, lecz nie podziękowała nawet, nic nie mówiła, rozglądała się tylko po izbie i zdawała się być równie zdumioną, jak przestraszoną.

Zbadawszy chorego, doktor przepisał lekarstwo, dobył z portmonetki pięciorublowy papierek i rzekł:

— Przedewszystkiem proszę kupić drzewa i mięsa, gdy jutro tu przyjdę niechaj będzie w izbie ciepło i niechaj zastanę przygotowany dla chorego talerz smacznego rosołu.

Kobieta pochyliła się do jego kolan, mężczyzna szepnął jakieś podziękowanie, dziewczynka uśmiechnęła się do swego dobroczyńcy, a doktor skłoniwszy im przyjaźnie głową, podał ramię milczącej wciąż Edycie i wyprowadził ją z izby do karety i kazał jechać dalej.

Minąwszy kilka kamienic, powóz znów się zatrzymał i doktor poprowadził Edytę na inne poddasze. Nędzy nie brak w tej dzielnicy naszego miasta, a doktor nie oszczędzał jej widoku córce bogatego ojca. Przeciwnie, chciał aby zobaczyła jak najsmutniejsze obrazy niedoli ludzkiej, aby jak najwięcej wrażeń doznała, jak najżywiej poruszoną została. Edyta szła wszędzie za nim i dziwna rzecz, mimo niewygodnych schodów na jakie wdzierać się była zmuszoną, znużenie opuszczało ją stopniowo, a życie zdawało się wracać. Gdy leżała na miękkim szezlągu, w pięknym swoim gabinecie, podobnym do kosztownej bombonierki, czyniła wrażenie dogorywającej lampy: teraz lampa ta jasno świeciła, blade policzki oblewała różowa łuna, oczy świeciły blaskiem zadowolenia. Gdy wchodziła na pierwsze poddasze doktor musiał ją nieść prawie, teraz go wyprzedzała; na Stare Miasto jechała obojętna, smutna, leżąc bezwładnie na poduszkach powozu, nie pytając gdzie i po co dążą; teraz twarzyczka jej nabrała rumieńców, rozpytywała doktora o rodziny, jakie poznała, o przyczynę ich niedoli i dowiedziała się, że nieszczęśliwy chory, którego najpierw odwiedzili, był to robotnik z fabryki żelaznej, któremu maszyna zgruchotała ramię; że pracą własną utrzymywał liczną rodzinę. Dzięki jego zabiegliwości, gdy był zdrów, ciepło było zawsze w izbie, dzieciom chleba nie brakło; lecz odkąd straszny wypadek powalił go na łoże, nędza zajrzała na poddasze i dokucza im codzień gorzej. Potem powiedział jej doktor, że na drugiem poddaszu, które zwiedzali, mieszka niejaki Józef Opański, od roku dotknięty paraliżem, że chciałby się dostać do domu paralityków, lecz obecnie żadne tam miejsce nie wakuje. Na trzeciem znowuż poddaszu mieszkał urzędnik bez posady, skutkiem bankructwa domu handlowego, w którym pracował jako buchalter.

— Temu ojciec będzie mógł dopomódz, szepnęła Edyta; jeszcze dziś wstawię się za nim, Opańskiego ciotce Kazimierze polecę.

Gdy powóz zatrzymał się przed mieszkaniem p. X., Edyta wyskoczyła z niego lekko i przebiegłszy spiesznie schody krokiem ożywionym, weszła do pokoju: doktor zaledwie mógł za nią nadążyć. Pan X. spojrzał na oboje zdziwiony, lecz nie zapytał o nic, uścisnął tylko serdecznie dłoń doktora.

Odtąd medyk codzień w południe przyjeżdżał do pana X. i codzień zabierał z sobą Edytę na tajemnicze wycieczki, z których wracała zawsze ożywiona i codzień zdawała się być zdrowszą i silniejszą. I pokoik jej przybrał też inną postać: kwiaty podniosły obwisłe liście, zakwitły na nowo, ptactwo wróciło do opuszczonej klatki, bo pewne było, iż biała rączka nasypie im codzień siemienia i wody poda; znikł kurz z cacek zdobiących biurko, wśród bieluchnych ścian pokoju rozlegał się często wesoły głos Edyty, lub miłe dźwięki pianina, a gdy echa tych głosów dolatywały do gabinetu ojca, podnosił głowę od rachunków i mówił sam do siebie:

— Czarodziej z tego doktora, czem on tę dziewczynę uzdrowił?

Edyta wprawdzie wspomniała mu kilkakrotnie o nieszczęśliwych, których codzień odwiedzała i nieraz prosiła ojca o jaki hojny datek dla nich, lecz p. X. przecież nie mógł przypuścić, aby widok czyjej nędzy mógł komu zdrowie wrócić.

Kilka miesięcy upłynęło, Edyta była wciąż zdrowa, wesoła i czynna. Pewnego ranku, gdy na ulicy zaturkotały o zwykłej godzinie koła karety doktora, pan X. który widocznie oczekiwał go tego dnia, bo nie wyszedł wcale z domu, pospieszył naprzeciw.

— Czas wyjaśnić mi tajemnicę — rzekł podając dłoń wchodzącemu — pozwól pan do mego gabinetu.

— Jaką tajemnicę? —spytał zdziwiony doktor.

— Wróciłeś pan zdrowie mej córce, wyrwałeś ją śmierci, z grobu ją nie ledwie dobyłeś i nie powiadasz mi jakim środkiem tego cudu dokonałeś?

— Alboż córka pańska nie powiedziała gdzie jeździmy codzień, miała to natychmiast uczynić.

Pan X. rozśmiał się.

— Gdzie jeździcie codzień, to wiem dobrze, lecz przecie tem nie uzdrowiłeś jej.

— Tem jedynie — odparł poważnie doktor — córka pańska była nadto szczęśliwa i przesyciła się tem szczęściem; znudziło ją życie bez myśli poważniejszej, bez pracy cięższej, bez troski, bez przeciwności, życie bez celu. Jam pokazał jej życie z celem i odwrotną stronę doli ludzkiej, łzy, cierpienie, głód i nędzę. Te to łzy, które ujrzała, te jęki jakie usłyszała, zbudziły ją z letargu, powołały do czynu, do trudu i zapragnęła pocieszać nieszczęśliwych i wybawiać ich z niedoli. Praca i trud wyrwały ją z cierpień duszy i ciała, ztąd zadowolenie z siebie wygnało z serca smutek, odpędziło nudę i zniechęcenie do życia, te dwie najstraszniejsze dręczycielki duszy ludzkiej. Otóż praca, zajęcie jest środkiem jakim leczę ludzi przesyconych dostatkami; oto lekarstwo, jakie przepisuję na chorobę, której uległa córka pańska. Dobra wola, rozsądek dopełniają reszty, ja tylko badam i radzę, a chory sam niebezpieczeństwo usuwa.

Teresa Jadwiga.

DWA LISTY Z AFRYKI.

PRZEZ

J. Hanningtona.

LIST I.

(Dalszy ciąg.)

Kiedy kapitan Hore, członek londyńskiego misyjnego towarzystwa, przechodził tędy dążąc do *Ujiji*, Mirambo wydał surowe rozkazy, żeby nikt nie ośmielił się podnieść ręki na jego białego przyjaciela. Ale zdarzyło się, że ostatniej nocy przed wyjazdem kapitana Hore ze stolicy, dowódzca jego tragarzy, schwytał na kradzieży jednego z paziów Miramby i chcąc go ukarać przywiązał do słupa. Traf zrządził, że przed świtem Mirambo wyszedł z pałacu, poszedł odwiedzić obóz białego człowieka pogrążony we śnie i zobaczył tam swego pazia na pokucie. Cofnął się spiesznie i posłał poufnie z zapytaniem, co znaczy uwiązanie sługi jego do słupa. Dowiedziawszy się o wszystkiem, milczał, dopóki kapitan Hore nie opuścił miasta; posłał wtedy dopiero po pazia, gdy ten uwolniony z uwięzi powrócił już do pałacu.

— Gdzie byłeś wczorajszej nocy? — zapytał.

— Sługa twój nie był nigdzie — odparł winowajca.

— Więc ja ci powiem gdzie byłeś! — zawołał Mirambo.

I opowiedział mu wszystko.

— A teraz — dodał — nauczę cię jak należy słuchać moich rozkazów i nie wchodzić w drogę moim białym przyjaciołom.

To rzekłszy, kazał mu przymknąć oczy, ręce podnieść w górę, a sam odszedłszy od niego o kilka kroków, napiął łuk i wypuścił strzałę, która trupem położyła go na miejscu.

Była to surowa i okrutna kara, ale Mirambo wydał rozporządzenie a własny jego sługa ośmielił się je przekroczyć, przez co sprowadził na swego pana podejrzenie wspólnictwa. Wiadomo też jest, że nigdy Mirambo sam nie wykonywa wyroków śmierci, ale zawsze posługuje się katem. W tym wypadku odstąpił od zwyczaju dla okazania, że nie miał nic wspólnego ze złodziejem i że wziąwszy w obronę białego człowieka, ujął się za krzywdę mu zrobioną.

Mirambo zanim został wyniesiony na tron, miał zwyczaj pić „pombe" to jest miejscowy upajający trunek, rodzaj piwa, w powszechnem będący użyciu. Zostawszy królem przestał pić natychmiast, mówiąc:

— Nie mógłbym podołać mojemu zajęciu i rządzić dobrze moim ludem, gdybym pił pombe, upijał się niem i po pijanemu wydawał rozkazy.

Uyni 16 Października. Do tej pory poprawiło się moje zdrowie do tego stopnia, że mogłem przechodzić już z pokoju do pokoju i na próbę robiłem wycieczkę w hamaku z misyjnego domu do obozu i z powrotem. Zniosłem dobrze trudy tej krótkiej podróży, a choć pod koniec nie mogłem się już utrzymać w siedzącej postawie, sądziłem, że nadeszła wreszcie chwila, w której będziemy mogli wyruszyć w dalszą drogę ku jezioru. Tegoż samego wieczora doszła nas wieść, że pięćdziesięciu z naszych tragarzy uciekło, czego następstwem było straszliwe zamieszanie. Ponieważ na nic się

nie zda upadać na duchu wobec niepowodzeń, postanowiliśmy więc pomimo tego wyruszyć w drogę pozostawiając jednego z ludzi, Raszyda, żeby się zajął przewiezieniem łodzi i pozostałych pakunków. Smith prosił mnie także żebym się stawił w obozie na drugą popołudniu, w którym zastanę już sześciu tragarzy, przeznaczonych do niesienia mnie w hamaku. Dostarczenie ich, położyłem za konieczny warunek, bo wiedziałem już z doświadczenia co to jest być niesionym i trzęsionym przez nieumiejętnych, zmęczonych i w złym humorze ludzi, do tego niewprawionych.

Pomimo wielkiego osłabienia, siedziałem cały ranek i porozpisywałem listy do rodziny i przyjaciół, obawiając się, aby wyprawa ta nie skończyła się dla mnie bardzo niepomyślnie. O dwunastej w południe zjedliśmy śniadanie, a o drugiej wsiadłem do hamaka i wyruszyłem do obozu, w którym zastałem wielki rozruch, bo po ucieczce pięćdziesięciu ludzi, trudno było zgodzić się, które pakunki zabierać, a które pozostawić? Widząc, że natychmiastowe wyruszenie jest niepodobieństwem, kazałem się zanieść pod osłonę skał i tam siedziałem aż do wpół do piątej, o której to godzinie wyruszyliśmy nareszcie. Kiedy nadeszli ludzie po mnie, byłem zanadto zmęczony, żeby się zastanawiać ilu ich jest i jakich, ale niezadługo przekonałem się że mam tylko jeden *przeprzęg* to jest tylko czterech ludzi i że jeszcze w dodatku ci czterej nie umieli, ani nie chcieli nieść mnie porządnie.

Zaledwie wyruszyliśmy z obozu, wielki zielony wąż, długi około ośmiu stóp wypełznął z trawy i podniósł się w górę w groźnej postawie, okazując jawnie, że jeśli ośmielimy się zbliżyć do niego nie ujdzie nam to bezkarnie.

Ludzie moi stchórzyli, domyśliwszy się więc że chcą mnie porzucić, wyskoczyłem co żywo z hamaku wołając o strzelbę. Ktoś z naszych wystrzelił z wielkiej odległości ale bezskutecznie; potem, rzecz doprawdy zdumiewająca! znalazł się jeden z Wanguanów tak odważny, że posunął się z kijem w ręku ku groźnemu gadowi, gdy ten nagle wsunął się w sitowie i przepadł bez śladu.

Po upływie półtorej godziny, ludzie moi zmęczeni, trzęsąc mnie niemiłosiernie, potknęli się i obaj razem upadli. Na szczęście przygotowany byłem na podobną katastrofę i zabezpieczyłem się od smutnych następstw z gwałtowności upadku. Dałem więc moim tragarzom długi wypoczynek, ale i to niewiele pomogło i ostatecznie, dla własnego bezpieczeństwa, byłem zmuszony wysiąść z hamaka i iść pieszo całe dwie godziny. Jakim cudem dokonałem tego, sam nie pojmuję. Ostatnie sześć tygodni przed podróżą przepędziłem włóżku i zdawało mi się, że zaledwie mogę przewlec się z pokoju do pokoju, a siedzieć nie dłużej nad godzinę. Teraz zaś szedłem przeszło dwie godziny i choć zmęczony bardzo, ale wlokłem się za drugimi.

Przybywszy nareszcie do obozu o ósmej wieczorem, zastałem w nim smutne zamieszanie. Smith zatrzymał się dla nadzoru pakunków, któreśmy musieli za sobą zostawić, tragarze zatem korzystając z jego nieobecności, poporozrzucali niesione przez siebie tłomoki, gdzie i jak się zdarzyło, a że trawa była wysoka a noc ciemna, nic nie można było znaleźć i skutkiem tego, w takim stanie zdrowia jak byłem, musiałem się obejść bez pościeli i co jeszcze gorzej bez pożywienia. Nie było w pobliżu żadnej wsi ani wody, więc i ranek nie przyniósł ratunku. Mimo głodu i znużenia nie chciałem wyruszyć, dopóki nie będę miał więcej ludzi do niesienia; dano mi sześciu ale i to niewiele pomogło, gdyż nie byli oni tragarzami z powołania i gorzej mnie jeszcze trzęśli niż dawniejsi.

O wpół do drugiej po południu, w dwadzieścia pięć godzin od śniadania w Uyni, zasiedliśmy wreszcie do posiłku składającego się z roztartego grochu i papki z mąki, rozrobionej wodą bez okrasy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Pomimo „martwego sezonu" materyału do kroniki nie braknie, lecz niestety, trudno w nim znaleźć choćby odrobinę dobrych, pocieszających wieści. Niebo nawet, które przez kilka tygodni było czyste i aż oślepiało jasnością słoneczną, coraz częściej odziewa się w szare, ołowiane chmury i moczy leżące na garściach zboże. Łuny pożarne przyświecają blaskami krwawemi, a biedne miasteczka i wioski palą się jak zwykle, jak co rok.

Pogorzelcy lamentują, płaczą na zgliszczach, i znów klecą drewniane budy i chałupy, które za lat parę, gdy wyschną dobrze i staną się palne jak siarka, pójdą znów z dymem i obrócą się w popiół.

Okropną jest ta peryodyczność klęsk ogniowych, na prowincyi. Jakież olbrzymie sumy ona pochłania, ile dorobku ludzkiego, owoców krwawego potu i ciężkiej pracy niweczy, ile ubóstwa przysparza. Miliony giną w ogniu!

Widząc te straty olbrzymie, te nieszczęścia i klęski, ciśnie się uporczywie pytanie: dokądże tak będzie? dopókiż dorobek ludzki padać będzie ofiarą, niezaradności, nieostrożności, niedbalstwa, a częstokroć nawet spekulacyi nikczemnej? Niestety, pytanie to, jak wiele innych, nie ma odpowiedzi.

Gdy miasteczko spłonie, wnet na jego gruzach wznoszą się takież same drewniane chałupy, przytulone do siebie jak najciaśniej, pokryte łatwopalnemi jak drzazgi, gontami. Cała nędza żydowska gnieździ się w ciasnocie i trzyma na strychach domostw drewnianych, siano, słomę, pakuły, gałgany, drzewo opałowe. Mieszczanie rolnicy znowuż, chociaż zazwyczaj domostwa mają ogródkami popodzielane, budują po za miasteczkiem stodoły w zwartym szeregu, jedna przy drugiej, jakby naumyślnie, żeby na wypadek pożaru, ani jedna nie mogła ocaleć.

I tak się dzieje; przyjdzie ogień i da straszliwą naukę, zniweczy wszystko, zmarnuje, nędzarzami ludzi uczyni, a ci, popłakawszy nad swoją niedolą, znowu gromadzą drzewo i znowuż budują ciasno, jak przedtem, jakby wyzywając nową klęskę.

Skoro przyjdzie lato, skoro te budowle wyschną jak wióry, pożary zaczynają grasować epidemicznie, krwawe łuny świecą po wszystkich okolicach kraju, a ofiarność publiczna, chociażby najbardziej nawet szczodrobliwa, nie jest w stanie dopomódz, nawet w tysiącznej części, tym, którzy ucierpieli.

Czyż więc nie jest zupełnie usprawiedliwionem pytanie, dokąd to trwać będzie?

Któż na nie odpowie. Chyba te łuny pożarne, które w roku przyszłym zaświecą.

Ze wsi również nie wesołe nadchodzą wiadomości. Tu grad zniweczył całą nadzieję rolników, tam słońce wypaliło i wysuszyło ziarna w kłosach, owdzie deszcz zmoczył pszenicę lub jęczmień na garściach, aż porosły i kiełkować zaczęły. Próby omłotu wypadły wcale nie osobliwie i jest nadzieja, że chleb zdrożeje a bułki zmniejszą się znowuż. Niestety, taka nadzieja nigdy nie zawodzi biednych ludzi.

Odwróćmy oczy od tych smutnych obrazów i spojrzmy na naszą starą Warszawę; gdzież bo szukać wesołości i uciechy jeżeli nie w murach miasta, które ma tyle ludności, tyle teatrów, koncertów i miejsc spacerowych, w centrum murów i po za murami?

W tej Warszawie, wyludnionej obecnie, ruch większy i życie można dostrzedz tylko w niedzielę o tyle naturalnie, o ile deszcz nie stanie na przeszkodzie. W tym dniu ogródki są pełne widzów, teatra „robią jaką taką kasę", a statki parowe mają kogo wozić na Saską Kępę, lub do Jabłonny.

W ogóle (wyrażając się językiem sprawozdawców giełdowych), przy święcie tendencya jest mniej ospała i usposobienie do zabaw mocniejsze.

Pragnął też skorzystać z tej tendencyi zarząd „Ogrodu zoologicznego" i urządził na Placu Ujazdowskim zabawę z oryginalnym i nader urozmaiconym programem. Były tam rozmaitego rodzaju wyścigi, a oprócz tego odważny aeronauta p. Sprinz miał się puścić w nadpowietrzne sfery, balonem z bibułki angielskiej.

Odważny Sprinz dotrzymał słowa i istotnie dał dowód niepospolitej odwagi, puszczając się na tak wątłym i niepewnym statku.

Balon szybko wzniósł się w górę i natrafiwszy prąd wiatru, popłynął daleko, daleko, na bory i lasy. Gdzie rzeczywiście śmiały Sprinz upadł nie wiadomo, to wszelako jest pewnem, iż nie zaszkodził ani sobie, ani ziemi na której znalazł kres podróży, gdyż niemiec ten był... manekinem.

Figiel dobry, szkoda tylko, że niepewna pogoda nie pozwoliła publiczności zebrać się dość licznie. Szkoda, powtarzamy, albowiem zarząd ogrodu obrócił-by zebrany fundusz na zakupno nowych zwierząt i różne ulepszenia w „Bagateli".

Rzecz nie stracona wszakże. Nikt nie zabroni drugiemu panu Sprinzowi, wznieść się w powietrze ku uciesze publiczności, a zwłaszcza dziatwy bardzo lubiącej tego rodzaju widowiska.

Wybitnym faktem w kronice ubiegłego tygodnia, jest ukazanie się „jednodniówki" na pogorzelców Grodna. I z formy i z treści piękne wydawnictwo. Zdobią je rysunki Andriollego i Gersona, a na treść złożyli się prawie wszyscy pracownicy pióra. Pomiędzy nowelkami, wierszami i aforyzmami znajduje się sporo prac, mających niezaprzeczoną wartość artystyczną.

Okładka jest niezwykle oryginalna. Na tle czarnem jak smoła, unoszą się kłęby dymu, a wśród nich napis: „dla pogorzelców", złożony z opalonych głowni, belek, ram okiennych i innych szczątków, znalezionych na zgliszczach. Szczątki te płoną jeszcze, a krwawa i żółta barwa płomieni jaskrawo odbija od czarnego tła.

Przyznać trzeba, że pomysł bardzo oryginalny i odpowiadający zupełnie celowi w jakim wydaną została „jednodniówka". Publiczność gorąco poparła wydawnictwo, pierwszego dnia zaraz rozeszło się z górą 2,000 egzemplarzy, w księgarniach ruch ogromny.

Tym, którzy nie zaopatrzyli się jeszcze w „jednodniówkę", radzimy pośpiech, gdyż dla „maruderów" może egzemplarzy zabraknąć.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Sierpnia 1885.

W połowie lata co tu pisać o modach? Paryż stosunkowo pusty w tej chwili, zamożniejsze rodziny przebywają po zamkach i willach swoich, inne pospieszyły do Bretanii i Normandyi na brzegi oceanu, inne znów do uzdrawiających źródeł w Plombiere, Vichy lub Royat. Na wystawach wielkich magazynów, widzimy te same stroje, z któremi oko nasze oswoiło się już od wiosny. Ponieważ jednak Paryż nastręcza nam zawsze jakąś zajmującą niespodziankę, tak i w tej porze roku znajdujemy ważny przedmiot do opisania w otworzonym niedawno sklepie artystyczno-jubilerskich wyrobów pana Bronisława Amszyńskiego do wspólki z p. Kalker. Sklep ten błyszczy między innemi przepyszną wystawą i ślicznem urządzeniem, w najpiękniejszej części miasta, przy ulicy Królewskiej (rue Royale Nr 25), prowadzącej od Bulwarów do wielkiego placu *de la Concorde*.

Pan Amszyński, ziomek nasz, rodem z Warszawy, od lat dwudziestu, zarówno jak wspólnik jego, zajmują się handlem brylantów i innych drogich kamieni *en gros;* w tym roku dopiero otworzyli sklep własny, a znając doskonale źródła, z których mogą nabywać z pierwszej ręki kosztowne klejnoty, mogą sprzedawać je po niższych cenach niż inni jubilerowie paryzcy. Uważamy za miły obowiązek uwiadomić o tem ziomków naszych i zachęcić ich, aby za pobytem w Paryżu zwrócili uwagę na piękny sklep przy ulicy Royale, a przekonają się sami, że ten nie ustępuje w niczem przepysznym sklepom jubilerskim przy ulicy de la Paix i w Palais Royal.

Radzibyśmy opisać wszystkie przedmioty nagromadzone za ogromną szybą lustrzaną, wszystkie bowiem zasługują na uwagę, zacząwszy od kosztownych naszyjników i bransolet, do artystycznie wyrobionych drobnostek, ale samo ich wyliczenie przeszłoby rozmiar korespondencyi naszej. Musimy więc poprzestać na wymienieniu kilkunastu przedmiotów, które nas szczególniej uderzyły. Do tych należą naprzód wspaniałe kolczyki z brylantów, wielkości gołębiego jajka, ważących 70 karatów. Uważaliśmy również ogromny brylant, nieoprawny, trzydziesto-karatowy, odznaczający się nadzwyczaj piękną wodą.

Prześliczną robotą zadziwia naszyjnik ze starych brylantów, tak misternie oprawny, że wygląda jak najpiękniejsza koronka. Bije zarówno w oczy, nader gustowna brosza, złożona z ogromnego szmaragdu otoczonego brylantami, i wielki pierścień rubinowy z takiemże otoczeniem.

Dwa prześliczne krzyżyki szczególną ściągają uwagę: jeden złożony z pereł i dyamentów, drugi nadzwyczaj sztucznie wykonany, ozdobiony brylantami, zawiera w sobie sześć miniaturowych fotografii. Można go złożyć; wtedy tworzy brelok do zegarka. Jest-to arcydzieło sztuki jubilerskiej.

Do artystycznych ciekawości zaliczymy mnóstwo zwierzątek, ptaków, motyli, różnego rodzaju robaczków i owadów, misternie rzeźbionych, wysadzanych różnemi kamieniami. Broszki tego rodzaju należą, jak wiadomo, do najmodniejszych. Uważaliśmy też jaskry złote, powszechnie dzisiaj używane.

Wyroby srebrne odznaczają się też prawdziwie artystycznem wykończeniem. Przedmioty emaliowane zalecają się smakiem i oryginalnością.

Oprócz tego, znajdujemy tu piękny dobór zegarków genewskich, w najpierwszych gatunkach.

Powiedzmy teraz słówko o ubiorach letnich. Paryż wyludniony stosunkowo w tej porze roku, małą w tym względzie przedstawia rozmaitość. Aby zobaczyć coś nowego, skorzystaliśmy z pociągów spacerowych i dwa dni spędziliśmy w Dieppe. Normandzkie to miasto, oddalone zaledwie o cztery godziny od stolicy, przyciąga całe roje wytwornych Paryżanek, dla których ranne przechadzki po wybrzeżu i wieczorne zebrania w *Casinie*, otwierają szerokie pole do rozwinięcia elegancyi.

Poranek niedzielny chłodny był, jak zwykle nad morzem: mimo lipca, wszystkie kostiumy miały cechę jesienną. Dajemy tu szczegółowy ich opis:

Kostium z wigoniu szafirowego. Pierwsza spódniczka krajana prosto, ma u dołu pięć dosyć szerokich, oddalonych od siebie zakładek. Z lewego boku na każdej zakładce naszyta pasmanterya w formie półksiężyca, szafirowa, przerabiana złotem. Druga spódniczka tworzy fantastyczną draperyą: z lewego boku podniesiona zupełnie do góry, z przodu spada ukośnie, przedłużając się ku prawej stronie i zachodzi do tyłu mocno sfałdowana. Staniczek do tego węgierski, z przodu spięty na pletnie i baryłki szafirowe ze złotem, z tyłu znacznie dłuższy, zakończony czworograniastą klapką. Środek pleców i boczki odznaczone stosowną pasmanteryą, przeciągniętą do końca klapki. Stojący kołnierz, cały z pasmanteryi, takież mankiety u rękawów. Dopełnia kostiumu kapelusik okrągły ze słomki szafirowej, przybrany szarfą *Teodora*, przerabianą w złote i kolorowe pasy.

Drugi kostium z ciepłej tkaniny, zwanej *bure*, w kolorze *Hawanna*. Spódniczka krajana prosto, przyfałdowana dokoła bez żadnego garnirunku. Stanik w rodzaju żakietki, z długim karoczkiem, otwarty z przodu. Plecy wpadają do figury, przody nieco wolniej puszczone; z pod spodu wygląda ciemno-ponsowa aksamitna kamizelka, spięta na rząd drobnych metalowych guziczków koloru sukni. Kołnierzyk stojący aksamitny, takież mankiety u rękawów. Kapelusik do tego okrągły w formie toczka, z tej samej jak suknia tkaniny, przybrany egretką z ciemno-pąsowego aksamitu.

Trzeci kostium z wigoniu w naturalnym kolorze. Pierwsza spódniczka z lewego boku, ułożona od góry do dołu w zaprasowane fałdy. Na to spada draperya podniesiona w górę z tegoż boku, otaczająca przód, z prawej strony dochodząca do ziemi, w tyle mocno nafałdowana. Staniczek albański, obcisły w tyle, zakończony przyfałdowanym karoczkiem, ma przody wolno puszczone, proste, cokolwiek otwarte; widać z pod spodu szmizetkę białą muślinową, całą naszytą w zakładki. Kapelusik do tego słomkowy szarego koloru, przybrany egretką z paproci.

Gdy słońce wybiegło z po za mgły morskiej, wysypało się około południa mnóstwo letnich ranych kostiumów. Uważaliśmy pomiędzy niemi bardzo ładne, złożone ze spódniczki etaminowej i białej pikowej żakietki, zwanej *meuniere* (młynarską). Żakietki te, dosyć długie, wpadające do stanu, spięte na guziki z konchy perłowej, bardzo dzisiaj przyjęte. Do spódniczki, z etaminy w deseń, noszą je gładkie białe; kiedy zaś spódniczka gładka, wtedy żakietka bywa z piki białej w drobny kolorowy rzucik.

Na koncercie popołudniowym w Casinie, zwróciła uwagę naszą bardzo ładna suknia z mienionej gładkiej materyi, w dwóch kolorach, jasno oliwkowym i miedzianym. Dół spódniczki zakończony wązką ruszką, wystrzyganą w ząbki na maszynie. Nad tem szły dwa wolanty, tak szerokie, że pokrywały całą spódnicę aż do stanika; te wolanty zaprasowane w fałdy w jedną stronę, wystrzyżone były u dołu w okrągłe zęby. Stanik do tego dość długi, bez bawetu, otwarty całkiem na przodzie; wzdłuż wykroju dane było wyłożenie z materyi, spięte po każdej stronie ze stanikiem na pięć wielkich guzików szmuklerskich. Z pod otworu wyglądała muślinowa szmizetka, w zaprasowane zakładki, ze stojącym kołnierzem, który pokrywała aksamitna oliwkowa obróżka. Dopełniał ubrania kapelusik z ryżowej słomki, przybranej pękiem liści i trawek, w dwóch odcieniach: miedzianym i oliwkowym.

Drugi kostium: spódniczka z sycylianki jasnopopielatej (gris de lin), w poprzecz niej wpuszczona trzy razy wstawka z koronki wełnianej tegoż koloru, szeroka na cztery cale; u dołu spada koronka ćwierć-łokciowej szerokości: wszystko to razem ułożone w głębokie kontrafałdy. Tył spódniczki pokrywa draperya z popielatej koronki, bardzo rozniesista, przytwierdzona po bokach do spódniczki kokardami, ze wstążki w tymże odcieniu. Stanik jedwabny gładki, przybrany z przodu popielatą koronką: kołnierz stojący czarny aksamitny, takież mankiety proste u rękawów. Dopełnia ubrania kapotka z tiulu srebrnego, przybrana egretką, z różnobarwnej trawki i polnych kwiatków.

W pośród okrywek letnich, zwróciły uwagę naszą dwie bardzo oryginalne. Jedna z nich, z koronki czarnej, naszytej dżetem, ma formę komeżki bez rękawów. Kładzie się przez głowę, zapina na obu ramionach. Wkoło szyi, zarówno jak na rozcięciu, od ramion aż do stanu, idzie piękny galon przerabiany dżetem. Takiż galon służy zamiast paska.

Druga okrywka strojniejsza, zwana *mantille maintenon*, tworzy chusteczkę zachodzącą do stanu, tak z przodu jak na plecach złożoną z koronki czarnej i plisek z ukośnego aksamitu. W tyle spadają od stanu dwie szerokie szarfy z koronki, przytwierdzone wielkim pękiem pukli aksamitnych; z przodu takież dwie szarfy, znacznie krótsze, połączone z chusteczką mniejszemi pukielkami. Szarfy te, zarówno jak chusteczka, podbite sztywną gazą czarną, aby lepiej odsadzały się od sukni.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Kosmetyki**, których używanie do pocieszających objawów nie należy, tak jednakowoż upowszechnione u nas, że miliony rubli napędzają kieszeniom zagranicznych producentów, obecnie będą w kraju wyrabiane.

Jeden z przedsiębiorców miejscowych zamierza otworzyć w Warszawie fabrykę parową kosmetyków i chemikalii toaletowych. Od tej pory więc, która z pań zechce psuć cerę, aby jak sądzi wydać się ładniejszą niż w rzeczywistości, będzie to mogła uczynić za tańsze pieniądze. Pożądanem byłoby, żeby te wszystkie mieszaniny pozostawały pod baczną kontrolą chemików, gdyż tylko w takim razie za nieszkodliwe uważać je będzie można.

Wypadków z zagranicznemi kosmetykami zdarza się wiele, gdyż kontrola jest utrudnioną, fabryka miejscowa powinna się starać o wyroby, nie szkodzące zarówno skórze, jak i całemu organizmowi, gdyż tylko tym sposobem może sobie zjednać klientki przepadające za wszystkiem co z zagranicy dochodzi.

*** **Ceny miodu** tak są nizkie, że aż właściciele pasiek zaczynają się na to uskarżać. Czy jednak miodem nazwać można owe mikstury, w których skład wchodzi znaczny zapas melassy i mączki kartoflanej, niech odpowiedzą ci, którzy zwabieni tanością dali się na nią złapać! Fuszerka i tutaj robi zgubną konkurencyą, podkopuje byt pasiek, zniechęca uczciwych pracowników, którzy przecież do swych trudów dopłacać nie mają potrzeby, a obecna cena kosztów produkcyi nie opłaca.

Muzeum Pszczelnicze, instytucya uczciwa i jedyna prawie w Europie, podaje do publicznej wiadomości, iż dla powyżej wymienionych przyczyn, chcąc ułatwić zbyt własnego miodu, zaprowadza u siebie fabrykacyę pierników.

Zdaje się, że sycenie miodu, sztuka będąca u nas niegdyś w pełnym rozwoju, a dziś podupadła, niestety, byłaby jedynym sposobem wyjścia, łatwym a skutecznym. Wyrabianie pierników do niczego nie doprowadzi, bo tu znowu spotykamy się z poważną konkurencyą wielu firm, znanych na tem polu i uznanych oddawna.

*** **Wyborny pomysł.** Pani Wolnicka, przełożona szkoły w Łodzi, zamierza urządzać odpowiednie zabawy i wycieczki dla dzieci rodziców mniej zamożnych, na co już nawet otrzymała pozwolenie władzy.

Metoda freblowska znajdzie tutaj szerokie zastosowanie, w całym szeregu zatrudnień, połączonych z gimnastyką i zabawą. Pomysłowi pani Wolnickiej przyklaskujemy całem sercem; świadczy on najwymowniej, że inicyatorka zna potrzeby dziatek i chce o ile możności zastąpić rodzicielską opiekę tym, które są jej pozbawione.

Wiadomo wszystkim, że Łódź jest ojczyzną fabrykantów, nie tylko tych co już zebrali miliony, lecz i takich, którzy na chleb dla rodziny pracują w czoła pocie. Znaczna ich część posyła dzieci do szkół, gdyż rozumieją potrzebę nauki, zapracowani jednak ciężko przez cały tydzień, nie mając czasu pomyśléć nawet o rozrywce, odpowiedniem towarzystwie i fizycznych ćwiczeniach dla ucznia lub uczenicy, pozostawiają ich własnemu przemysłowi.

O takich to dzieciach pomyślała pani Wolnicka i za drobną opłatą (po kopiejce), zabierać je będzie w lecie do ogrodu albo lasu, w zimie zaś do obszernej sali, gdzie wspólnie czas przepędzać mają.

Za swoje trudy szanowna przełożona zupełnie nic nie żąda, a z funduszu opłaty kopiejkowej ma powstać w przyszłości odpowiednia ochronka.

*** **Może będzie i lepiej.** Po ciężkich latach, dla rolników naszego kraju może pomyślniejsze nadejdą chwile i kto wie czy rok obecny nie nagrodzi im choć w części strat przez poprzedników wyrządzonych.

Konkurencya Ameryki nie budzi obecnie wielkiej obawy, urodzaje zaliczyć tam można zaledwie do średnich, o połowę mniejszych niż w 1884 r. Szczególniej żyto i pszenica nie dopisały, co zaś do owsa i jęczmienia, tak jeden jak i drugi pomimo, że obrodził się znakomicie, powodu do obawy nam nie nastręcza, gdyż w ogóle mniej go wysyłają.

U nas, rok obecny do najgorszych nie należy, a chociaż i straty były wielkie, gdyż grad niemał wszędzie obecność swą zaznaczył, to jednak rezultat zbiorów, przy lepszej cenie zboża, może załatać biedę i choć chwilowo ją odżegnać.

Powiadamy *chwilowo*, gdyż dążnością ziemian powinno być i nadal staranie o wydobycie nowych źródeł dochodu, który na gorsze lata bardzo się przyda.

Jesteśmy pewni, że panowie piekarze dowiedziawszy się o tem wszystkiem, mając zapasy zboża po dawniejszej cenie, skorzystają ze sposobności i zaczną wypiekać bułeczki jeszcze mniejsze i cenę chleba podniosą.

*** **Pokój jej wieczny!** Stefania z Tabęckich Chłędowska, żona pisarza, Kazimierza Chłędowskiego, autora licznych powieści oraz studyów literackich i historycznych, zakończyła życie w Mentonie, gdzie też ją pochowano.

Zmarła odznaczała się niepospolitemi przymiotami serca i umysłu, była przytem cichą i skromną. Znaczna część jej ślicznych nowelek wychodziła bezimiennie, tak iż nikt nie wiedział kto jest ich autorem, ona sama utrzymywała to w najściślejszej tajemnicy.

W pamiętniku swoim zaznacza, że dopiero w roku 1880, jako „trzydziestoletnia baba" pisać zaczęła, a my dodamy od siebie, że przystąpiła do tego z dojrzałym już talentem, gdyż pisała od razu rzeczy dobre.

Słaba ciągle i wątła, bardzo niewiele udzielała się w towarzystwach, gdzie była nader pożądanym gościem, przyjmując za to chętnie u siebie; z dystynkcyą i taktem osoby inteligentnej łączyła serdeczność i prostotę, będącą jej nieporównanym wdziękiem.

Obecnie, już po śmierci, wyszło zbiorowe wydanie jej utworów, a przyjaciel męża p. Władysław Łoziński napisał do nich przedmowę.

W „Kuryerze Warszawskim" drukowano w ostatnich czasach dwa obrazki, kreślone barwnem piórem zmarłej: „Impresyonistka" i „Panna Ludwika".

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Oryginalny meeting.** Podczas zmowy garncarzy w Gdańsku, zdarzył się bardzo zabawny epizod. Pewna część strajkujących robotników chciała odbyć poufną naradę i w tym celu zebrała się rano, w ogrodzie za miastem. Lecz widocznie ktoś ich zdradził, przybywszy bowiem na umówione miejsce zastali dosyć znaczny zastęp policyi.

Podążyli do gospody lecz i tu policya trafiła za nimi, poszli do innego miejsca spacerowego, policya również pospieszyła ich śladem.

Wówczas jeden z nich pomysłowy i dowcipny, zaproponował kąpiel w morzu i projekt został z aklamacyą przyjęty.

Podążyli na brzeg i rozebrawszy się wszyscy dwudziestu wskoczyli do wody i odbyli naradę. Trwała ona krócej niż na stałym lądzie, ale władza policyjna nie miała prawa jej przerwania.

*** **Tak źle nie będzie.** Według doniesień z winnic nadreńskich, urodzaj winogron wszędzie podobno bardzo źle się zapowiada, w skutek długotrwałych chłodów wiosennych. Przewidują też powszechnie znaczne podrożenie tego owocu, o czem już podobno kupcy uwiadomieni zostali. Co zaś do win, nie mamy potrzeby martwić się zbytecznie, poczciwa nasza czarna jagoda udała się w tym roku więcej nawet niż w poprzednim, a zagraniczni ajenci uwijają się po wsiach i skupują ogromnemi partyami.

Czerwonego wina będzie więc dostatek!

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie małej dziewczynki. Długa bluza z przodu po za plastronem założona w fałdki, dopełniona jest marszczoną, haftowaną spódniczką. Zamiast paska przewiązany sznur z pomponami; szeroko wyłożony kołnierz zakończony haftem odpowiednim do spódniczki i plastronu.

Suknia z bawełnowym paskiem. Materyał stanowi etamina haftowana; pasek bawełny jednym końcem wpuszczony w boczny szew stanika, drugim zapina się na haftki. Plecy stanika przedłużone w suto fałdowane karoczko; przody szeroko otwarte na kamizelce marszczonej, mają wzdłuż brzegów wykład z haftowanej falbanki. Tunika formą spódniczki, z tyłu i z boków podpiętej.

Sukienka z vêtement dla dziewczynki. Spódniczka fałdowana i kamizelka są z ażurowej etaminy, vêtement zaś z gładkiego materyału. Przody założone w drobne fałdki, boczki odcięte ozdobione guziczkami a plecy vêtement przedłużone w suto podpiętą draperyę. Kokardy z atłasowej wstążki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Іюля 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Dodatek.



N. 1. Sukienka zdobna pletnią.



N. 3. Ubranie ślubne. Patrz ryc. 4.



N. 2. Sukieneczka dla dziewczynki lat 4—6. Krój i opis na arkuszu N. X, fig. 63—68a.

Opis do N-ru 32.

(*Dokończenie.*)

N. 5—6. Strojne ubranie weselne. Patrz fig. 41 na arkuszu.

Wykończone z blado różowego atłasu i żółtawego koronkowego materyału, ma bardzo zgrabny staniczek formą gorsecika, związanego na wstążki na ramionach i dopełniany wokoło wykroju szmizetką marszczoną; zapięcie stanika kryje się pod plastronem z drobno fałdowanej falbanki jedwabnej, układanej wachlarzowo. Króciutki rękawek z jedwabnego tiulu wskazaliśmy oddzielnie na ryc. 5; riusza z róż, dana poniżej, stanowi oryginalne dopełnienie. Dolny brzeg sukni i tren zdobi riusza jedwabna, wycięta z brzegów w ząbki, fałdowana niezmiernie suto. Jak to widać na r. 6 i na fig. 41, tren z jednego boku złożony jest w dwie głębokie płaskie fałdy, w drugiej połowie zaś jest tylko zmarszczony i wszyty w pasek. Draperya przednia z prawego boku ściśle sfałdowana i podniesiona w górę, z lewej strony wpuszczona gładko w szew spódnicy, na której dane wolanty koronkowe, przepinane pukłami z wstążki. Ubranie głowy stanowi maleńki wianeczek z róż, na środku którego wpięta kitka ze strusich piór i agrafka brylantowa. Wachlarz różowy atłasowy naszyty



N. 4. Ubranie ślubne. Patrz ryc. 3. Krój na arkuszu N. VII, fig. 49—52.



N. 5. Krótki rękaw do stanika ryc. 6.



N. 6. Ubranie na uroczystość weselną. Patrz ryc. 5 i fig. 41 na arkuszu

koronką, ozdobiony przypiętemi zwierzchu świeżemi różami.

N. 8—10. Ubranie podróżne lub do spacerów w górach.

Krój na arkuszu N. VI, fig. 42—48.

Do podróży lub wycieczek w góry najwłaściwsze jest ubranie nie krępujące fasonem i strojnem wykończeniem, z materyału nie gniotącego się jak np. loden. Spódniczki pod spód i majtki są również wełniane. Ryc. 8—10 przedstawiają model odznaczający się praktycznością, składający się z krótkiej podwójnej spódnicy i paletocika z kapturkiem. Dłuższa spódnica składa się z trzech brytów prostych, z których tylny liczy 140 cent., dwa przednie, zapinane w połowie długości na guziki, 170 cent. szerokości. U dołu dane ciemniejsze obłożenie 16 cent. szerokie; górny brzeg zmarszczony na tasiemkę. Do wycieczek w góry nie kładzie się tej spódnicy, lecz składa jako pled, a w razie deszczu zastąpić ona może płaszczyk osłaniający ubranie i w tym celu ma zostawione otwory w szwach bocznych, na 20 cent. odstępu od góry, przez które wysuwa się ręce. Krótsza zwierzchnia spódniczka, którą do wycieczek w góry kładzie się wprost na majtki z tego samego materyału, liczy tylko 83 cent. długości i składa się z dwóch brytów tylnych po 140 cent. szerokich i z przedniego bryta 102 cent. szerokiego. Bryt ten oddzielnie obszywa się ciemnem obłożeniem z trzech stron i przypina z boków na guziki do tylnego bryta, górny brzeg przodu przymarszcza się podług ryc. 10, a tylne bryty zbiera w ścisłe fałdy.

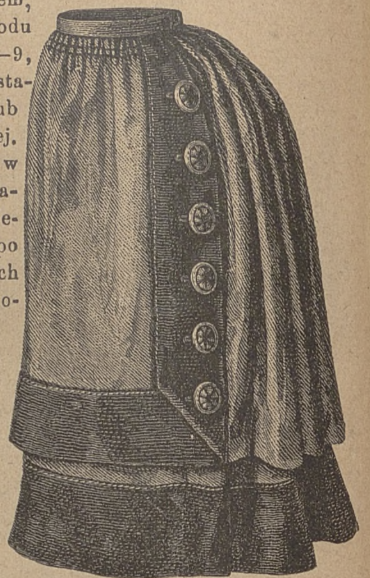


N. 7. Spódnica plisowana z szarfą. Stanik patrz ryc. 5 w N. 31.

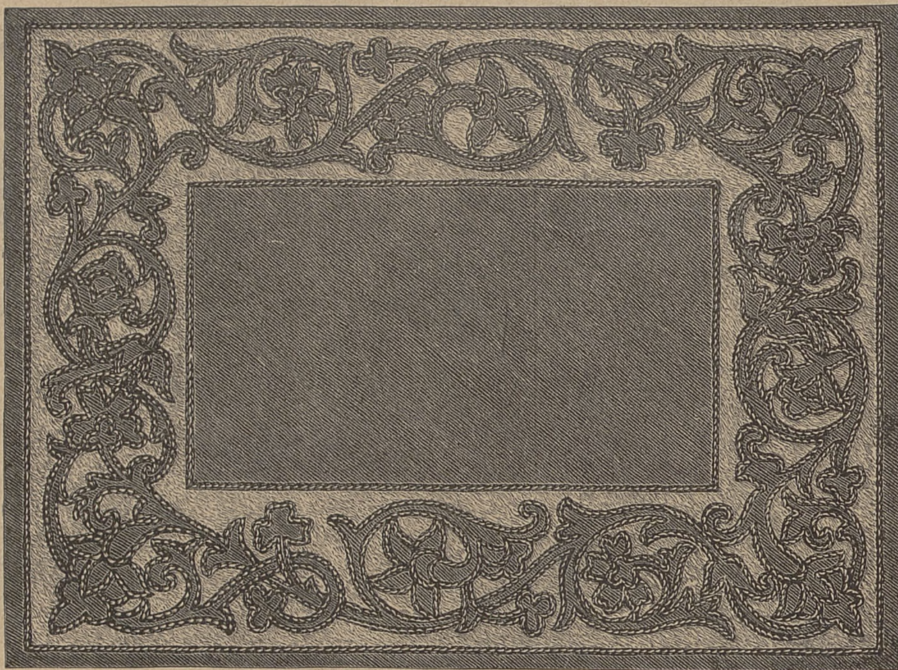


N. 8—9. Krótki półwcięty paletocik z kapturkiem, do ubrania podróżnego lub wycieczek w góry. Patrz spódnicę ryc. 10. Krój na arkuszu N. VI, fig. 42—48.

Krótki półwcięty paletocik z kapturkiem, przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 8—9, noszony bywa na staniku trykotowym lub na bluzce jedwabnej. Przody krają się w jednym ciągu z wykładami, podszytemi ciemniejszą materyą, po wyłożeniu na wierzch przytrzymanemi dwoma rzędami guzików. Niewidoczne zapięcie dane środkiem na kryte haftki. Kapturek kraje się w jednym ciągu z karoczkiem; fig. 46 daje połowę formy; od I do dwukropka wpuszczony w szew ramienia, od E przez F do G w szew łączący plecy z boczkami, brzeg kapturka i spód karoczka podszyty materyałem użytym do przybrania.



N. 10. Spódnica podwójna do ubrania podróżnego lub do wycieczek w góry. Patrz ryc. 8—9.

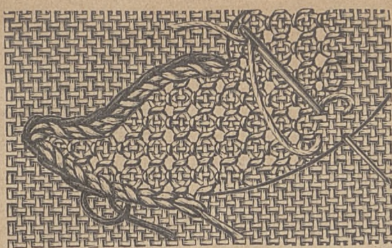


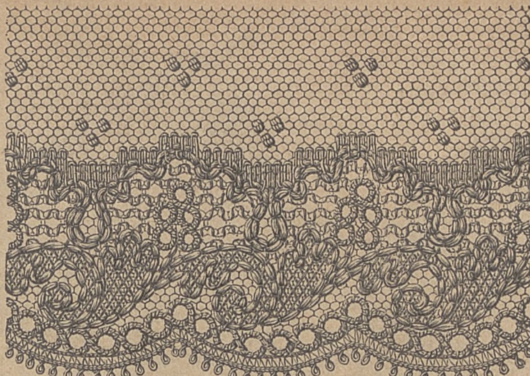
N. 11. Kołdra dla dziecka lub przykrycie na nogi w powozie. Aplikacya. Patrz ryc. 12 i ryc. 14. Deseń ns arkuszu fig. 38a —38b.

N. 12. Szlak do ryc. 11. Aplikacya. Patrz ryc. 14.

N. 11—12 i 14. Kołdra do wózka dla dziecka. Deseń aplikacyi na arkuszu fig. 38a—38b.

Może również służyć w powozie do przykrycia nóg i liczy około 70 c. szerokości a 88 długości; r. 11 przedstawia model z niebieskiej flanelki podłożonej barchanem. Szlak naszyty jest w odstępie $2\frac{1}{2}$ c. od brzegu, deseń do niego daje r. 12 i fig. 49—50, zestawienie ułatwiają odpowiednie znaki. Najpierw deseń rysuje się na flaneli i przyfastrygowywa równo i starannie do podszewki, następnie kontury naszywa sznureczkiem; jak to widać na ryc. 14, sznureczek ten robiony jest szydełkiem z włóczki hamburgskiej, a przy naszywaniu obrócony lewą stroną do wierzchu. Przyszycie dane jasno niebieską filozelą; ściegi przejmuią się przez wierzch i podszewkę, w sposób dokładnie wskazany na ryc. 14. Po naszyciu deseniu flanelę zostającą po za deseniem wycina się starannie, przy czem odsłania się biały barchan, na którym berdzo efektownie odbija niebieska aplikacya. Do podszycia można użyć satynki lub miękkiej materyi.

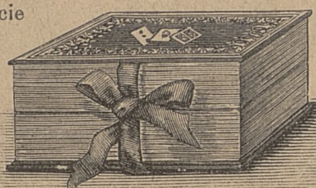

N- 13. Wykonanie kratki ażurowej do ryc. 9 w N. 31 i do ryc. 23.


N. 15. Koronka wywodzona na tiulu.


N. 14. Przyszycie aplikacyi na szlaku do kołdry ryc. 11 i 12.


N. 19. Ubranko z denkiem koronkowem. Patrz ryc. 20 i 21.


N. 16. Futerał do kart. Patrz ryc. 17 i fig. 15.


N. 17. Futerał do kart. Patrz ryc. 16.

N. 18. Negliżyk z koronki i wstążki. Krój podstawy N. XI, f. 69—70.

Fig. 70 daje formę czółka oszytego wokoło drucikiem i złączonego z przodu podług odpowiednich znaków z denkiem (f. 69) lekko sfałdowanem, z tyłu wszytem w pasek tiulowy 20 c. długi, 2 c. szeroki. Przygotowawszy podstawę, brzegi obejmuje się różową wstążeczką i przyszywa zwierzchu końce, dane w jednym ciągu, 165 c. długie, 4 szerokie, z różowej wstążki repsowej; czółko i wstążka przykryte dwoma rzędami koronki 8 c. szerokiej, z boków lekko, nad czołem suto namarszczonej; denko przykryte również fałdowaną koronką. Kokardy z wstążki niebieskiej i różowej.

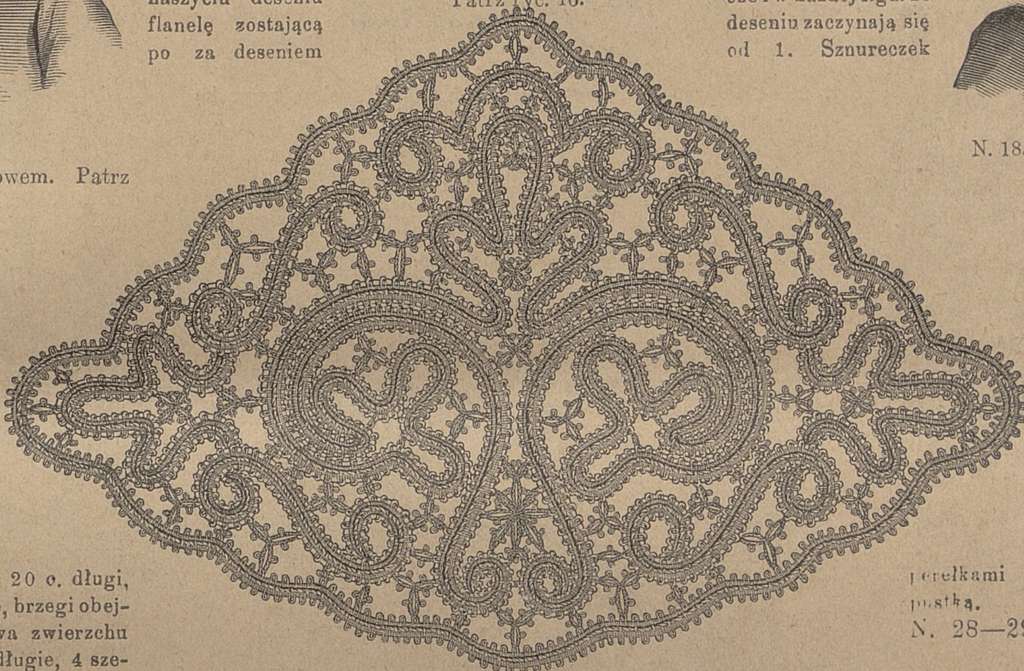

N. 21. Fason do ryc. 19.


N. 22. Tasiemeczka robiona ręcznie na klockach, do ryc. 20

N. 20 i 22. Denko do czepeczka. Koronka ręczna, robiona na warstaciku. Deseń fig. 72 na arkuszu.

Ryc. 20 przedstawia w maleńkim formacie denko, odrobione z żółtawego jedwabiu i cienkiego złotego sznureczka, zajmującego sam środek w plecioneczce wykonanej podług ryc. 22, dającej próbkę w powiększeniu. Deseń denka składa się z otoczenia brzeżnego i rozety środkowej; rzymskie liczby na fig. 72 wskazują kolejne następstwo figur przy robocie. N. I oznacza tasiemeczkę stanowiącą brzeżne otoczenie denka, robioną bez ażurowych brzeżków, 11 nitkami. N. IV i VI wypadają na środku denka, po N. VI następuje V, III i II; zwykłe liczby oznaczają nitki robocze i w każdej figurze deseniu zaczynają się od 1. Sznureczek złoty nawinięty jest na oddzielną szpulkę i starannie zakończony na początku i przy końcu każdej rozety.


N. 18. Czepeczek negliżowy. Krój podstawy patrz na arkuszu N. XI, fig. 69—70.

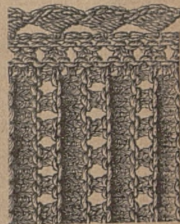

N. 20. Denko do czepeczka. Robota koronkowa ręczna. Napięcie deseniu patrz fig. 72.

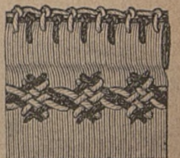
N. 26—27. Oszycie do kołnierzyków.

Pasek niebieskiej crêpe-lisse wycięty w zęby, podłożony białą crêpe lisse i drobniutko zaplisowany, wszywa się w listewkę atłasową; zakończenie niebieskich zębów stanowią pikoty. Ryc. 27 przedstawia oszycie z żółtawego aksamitu, naszytego perełkami i zakończonego podwójną repsową wypustką.

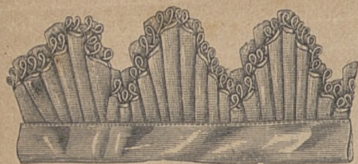
N. 28—29. Uczesanie wysokie i kołnierz z perełek.

Włosy lekko zakarbowane odwinięte są wysoko na krepinach, a końce zwinięte w rulon, zapięte w węzeł z tyłu głowy grzebykiem dżetowym. Krótkie loczki zafryzowane są w ten sposób, iż nad czołem idą krótko, a na skroniach zachodzą głęboko z boków. Wysoko stojący kołnierz robiony jest na cieniutkim druciku


N. 24. Tło robione na drutach, do ryc. 8 w N. 31.


N. 25. Szlaczek wyszyty na rękawiczce r. 8 w N 31


N. 23. Część deseniu do serwety ryc. 9. Haft na płótnie. Patrz ryc. 13.



N. 26. Oszycie z crêpe-lisse do stojącego kołnierzyka.

od spodu podszyte słomką blado żółtą; na kokardę użyta aksamitka z atłasowym spodem, 6 c. szeroka, układana w ten sposób, ażeby obie strony były widoczne.

N. 32. Ubranie trykotowe dla chłopczyka lat 5-7.

Krótkie majteczki są z granatowego, obcisła bluza z białego trykotowego materyału; szlak, kołnierz, wykłady na rękawach i szarfa są w pasy niebieskie. Rozporek przedni zasznurowany jedwabną plecionką. Czapeczka trykotowa biała z niebieskim kwaścikiem. Pończochy granatowe; wysokie buciki.



N. 31. Ubranie dla chłopczyka lat 6—8. Patrz ryc. 12—14 w N. 31. Krój na arkuszu N. III, fig. 17—30.

N. 34—35. Krzesła ogrodowe.

N. 34. Krzesło zdobne frendzlą kwaścikową.

Plecione jest z grubej i cienkiej trzciny, z wysoką poręczą; przyozdobienie stanowi gruba frendzla z kolorowej hamburgskiej włóczki, ułożona w lambrekinę w kształcie zęba, spadająca zwierzchu i z tyłu poręczy. Na każdy kwaścik potrzeba 25—30 nitek włóczki kolorowej, np.: ponsowej, zielonej, drzewnej, bronzowej i blado niebieskiej. Nagłówek przy lambrekinie stanowi gruby pleciony



N. 34. Krzesło ogrodowe zdobne frendzlą

z perełek; zakończenie brzeżne stanowią wielkie szlifowane perły.

N. 30. Kapelusz okrągły.

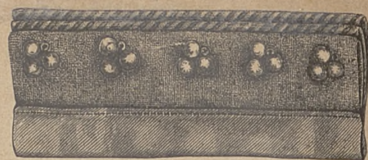
Pleciony z cieniutkiej bronzowej słomki, ma rondko

N. 28—29. Wysokie uczesanie i kołnierz z perełek.

N. 30. Kapelusz z wysoką główką.



N. 33. Ubranie dla panienki lat 13—15. Krój i opis na arkuszu N. IV, fig. 10—16.



N. 27. Oszycie z aksamitu i perełek, do stojącego kołnierzyka.

warkocz; pierwszy kwaścik przyczepia się na jednym końcu warkocza i tworzy wzdłuż niego trzy zęby, z których środkowy liczy 10 cent., dwa boczne po 15 cent. długości. Drugi promień krzyżuje się z pierwszym, a na krzyżowaniu dodają się kwaściki. Podobna frendzla otacza wokoło siedzenie.

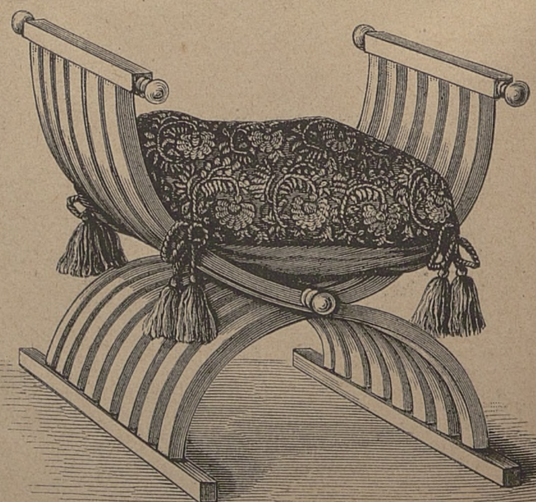
N. 35. Krzesło z poduszką do siedzenia.

Ryc. 35 przedstawia taboret składany, dający się z łatwością przenosić w ogrodzie z miejsca na miejsce; po-



N. 32. Ubranie trykotowe dla chłopczyka lat 5—7.

duszka, przykrywająca siedzenie, wypchana jest włosiem. Ponieważ ma służyć do krzesła ogrodowego, więc pokryta jest tureckim perkalem do brym do prania, wyszytym bawełną kolorową. Na rogach przyszyte kokardy ze sznura z kwastami.



N. 35. Krzesło ogrodowe z poduszką.



Pl. 619.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.